Nr. 7. Kraków, Lipiec 1918. Rok XII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 3 K, półrocznie 1 K 50 h.

Cena egzemplarza wynosi 25 halerzy.

TRESC NUMERU VII-go:

Ś. p. Ksiądz Arcybiskup Symon.

Przez pięć ostatnich lat zwracał na siebie uwagę mieszkańców Krakowa jeden człowiek. Najczęściej można go było zobaczyć w porach letnich, po południu, gdy pogoda dopisywała; jeździł powozem, zaprzężonym do pary koników, a prawie zawsze jedynym celem jego wyjazdów były Bronowice pod Krakowem. Tam miał dworek, tam miał siostrę staruszkę, tam zdala od gwaru miejskiego życia szukał wśród wiejskiej zieleni, wśród wiejskiego, czystego powietrza odpoczynku. Starzec to był — gdy spojrzałeś na jego twarz i na siwy włos, mogłeś odrazu zauważyć, że człowiek ten siedmdziesiątkę już przeszedł, ale gdyś rzucił wzrokiem na jego oczy, na dobrotliwość i pogodę, z nich bijącą, byłeś pewnym, że duch tego człowieka dużo musi mieć w sobie młodzieńczości.

Tak też rzeczywiście i było. Kto miał sposobność zbliżyć się do ś. p. Arcybiskupa, kto miał szczęście przebywać czas jaki w jego towarzystwie, nabierał dziwnego przywiązania do tego starca, piastującego przecież tak wysoką godność kościelną a mimo to w do-

sunkach z młodszymi tak niezwykle prostego, że człowiek czuł się wprost rozbrojonym, pełnym czci dla niego, ale zarazem pełnym swobody wobec niego. „Salvete fratres“ (witajcie bracia) — mówił ksiądz Arcybiskup, spotykając się z młodszymi księżmi w sali na dole na prałatówce. A mówił to zawsze z uśmieszkiem, który prawie nigdy z jego twarzy nie znikał. Potem zagadnął kogoś z obecnych o rozmaite sprawy, słuchał dowcipnych opowiadań i jakże nieraz serdecznie się uśmiał. Co to za miły był widok ten wesoły Arcybiskup! Jakże się go kochało za tę niewymuszoność, za tę serdeczność wobec młodszych! Kiedy zaczął opowiadać, słuchał go każdy z zapartym oddechem. Słowa jego brało się na wagę złota, zwłaszcza gdy opowiadał o kościelnych stosunkach pod dawnym rządem carskim. Jak on te stosunki znał doskonale! Przecież tam był biskupem, naprzód mohylewskim, potem płockim. Jako biskup-sufragan mohylewski stał na czele olbrzymiej archidyecezyi, obejmującej ogromne przestrzenie, bo całą Rosyę europejską (prócz Polski Kongresowej) i Sybir. Jako biskup był ksiądz Symon człowiekiem bardzo czynnym i ruchliwym, zwiedzał odległe miejscowości, naprawiał zło, podnosił to, co upadało. Z podziwienia godną wytrwałością znosił trudy, nieodłącznie związane z takiemi podróżami, zdarzało się nieraz, że sam musiał sobie przyrządzać trochę strawy, aby zaspokoić głód. Wiele więc przeszedł, wiele widział, mógł więc o tem opowiadać, jako naoczny świadek i jako ten, który często sam w wypadkach brał żywy udział. Słuchało się zatem tych opowiadań w ten sposób, jakby się słuchało historyi, opartej na źródłach. Bo ks. Arcybiskup Symon był jakby żywą historyą, z całą pewnością był częścią historyi Kościoła na ziemiach dawnej Rosyi i to częścią wielką.

Praca jego jednakowoż nie ograniczała się do samej Rosyi. I w Królestwie Polskiem znają bardzo dobrze Arcyb. Symona. Idźcie do tych miast Kongresówki, gdzie są stolice biskupie a koło nich kapituły i spytajcie się tam, czem był dla nich zmarły ksiądz Arcybiskup? Nie znajdziecie tam ani jednego kapłana, któryby z żywem przejęciem wam nie odpowiedział. Spotkalibyście tam nieraz jego uczniów. Księża z Królestwa, którzy przyjechali na pogrzeb Arcybiskupa do Krakowa, opowiadali, że niema ani jednej dyecezyi na ziemiach Królestwa Polskiego, gdzieby nie było przynajmniej kilku uczniów ks. Symona. Bo, zanim został biskupem, był wprzód ks. Symon profesorem, potem rektorem akademii duchownej w Petersburgu. W stolicy carów uczył i kierował wychowaniem młodych księży polskich, których tam dla studyów musiano wysyłać. Był on tam prawdziwym ojcem dla teologów, był zarazem gorącym patryotą, dbającym usilnie o to, by młodych Polaków, rzuconych w obcy świat rosyjski, ten świat nie przygniótł i nie zagasił w nich uczucia miłości ku ojczyźnie.

Znała go tedy i kochała Kongresówka. Znała go więcej, niż Galicya, więcej niż Kraków. Kim był ks. Arcybiskup Symon, wiedzieli w Krakowie tylko ci, którzy się z nim zetknęli bliżej. Ogół nie był dobrze uświadomiony, kto to jest ta wzniosła postać starca, pokazująca się często na ulicach śródmieścia. Ogół nie miał nieraz żadnego o tem pojęcia i dopiero, gdy w czasie rozmowy przedstawiło się tu lub ówdzie wybitne znaczenie tego człowieka, jego zasługi, położone dla Kościoła i Ojczyzny, niejeden wyznawał zawstydzony: „A ja nie wiedziałem, że to taki człowiek“.

Nie wiedział także ogół o tem, o czem przecież powinien chyba był wiedzieć, że ks. Arcybiskup Symon był wygnańcem za sprawę katolicką i polską. Gdy został mianowany biskupem płockim i gdy właśnie wtenczas wyszło rozporządzenie carskie, iż nabożeństwa po kościołach mają się odprawiać w języku rosyjskim, ks. biskup Symon wydał rozporządzenie do swych kapłanów, że mają odprawiać wszystko po polsku. Za to rząd carski odebrał mu biskupstwo i ks. Arcybiskup musiał szukać przytułku w Odessie. Z Odessy wyjechał w r. 1901 do Rzymu, gdzie przebywał aż do r. 1913. W Rzymie był duszą tamtejszej kolonii polskiej, a u Ojca św. był doradcą w sprawach, tyczących się Polski,

Z Rzymu także wyjechał do Ameryki, aby tam uporządkować sprawy Kościoła polskiego na drugiej półkuli. I tam także zasługi jego są wielkie.

Na tem jednak działalność zasłużonego biskupa i wygnańca bynajmniej się nie skończyła. Zmarły Arcybiskup był jeszcze człowiekiem nauki. To był człowiek wielkiej pracy naukowej, znawca biblii, znawca języka hebrajskiego, tłómacz „Pięcioksiągu“ Mojżesza, tłómacz „Psałterza“, tłómacz „Listów św. Pawła“. Przetłómaczył także na język polski kościelne hymny łacińskie, znajdujące się w oficyum kapłańskiem. Był on powagą naukową pierwszorzędną na ziemiach polskich na polu biblii. Przy tej sposobności wspomnimy, że „Listy św. Pawła“ wyszły w Krakowie, ostatnimi czasy wyszedł „List do Rzymian“ z objaśnieniami, pod prasą zaś jest „List I. do Koryntyan“ — są one dostępne dla ogółu, każdy może je sobie nabyć (zwłaszcza, że są tanie) i przeczytać w pięknem tłómaczeniu Symona. Mówiąc o nauce ks. Arcybiskupa, wspomnimy także, że zmarły posiadał wspaniałą bibliotekę. Tyle książek i to wszystko prawie z dziedziny biblijnej, że człowieka ogarniało zdumienie. Znalazłeś tam książki francuskie, angielskie, włoskie, czeskie, rosyjskie, niemieckie, nie mówiąc o hebrajskich, a książki te nie leżały dla „parady“, lecz służyły zmarłemu w jego badaniach.

Takim był ten człowiek, którego we środę przed Bożem Ciałem odprowadzaliśmy na cmentarz. Odprowadzaliśmy tłumnie. Mimo, że dzienniki cały tydzień z powodu strejku nie wychodziły, mimo, że nie można było szerszej publiczności dać znać o życiu ks. Arcybiskupa, to jednak Kraków jakoś dziwnie tę śmierć odczuł i tłumny w pogrzebie wziął udział. Wzięli udział także goście. Przyjechał ks. Biskup Wałęga z Tarnowa, ks. Biskup Ryx z Sandomierza, przyjechała cała kapituła kielecka, jeden delegat z Warszawy, a udział gości w tym pogrzebie byłby nieporównanie większy, gdyby nie dzisiejsze opłakane stosunki wojenne na kolejach. Jeśli jednak nie wszyscy, którzy kochali ks. Symona, mogli osobiście w pogrzebię wziąć udział, to duchem szła za tą kochaną trumną cała Polska, całe wszystkie dyecezye dawnej Rzeczypospolitej i błagały wraz z orszakiem pogrzebowym Pana Zastępów, aby duszy tego człowieka dał wieczny odpoczynek i aby jej światłość wiekuista świeciła na wieki.

Więcej miłości chrześcijańskiej!

— Rodzice! Kochajcie swoje dzieci więcej!

— Jak to? Wszak my dla nich żyjemy, — z myślą o nich budzimy się co rano, troska o nie spędza sen z naszych oczu, od ust sobie odejmujemy, byle im tylko chleba przysporzyć. Czyż to jeszcze słaba miłość?

— Tak, wiem o tem, znam bohaterską nieraz miłość rodziców do dzieci, znam matki, co same stare zdzierają ubranie, byle córkę najpiękniej przystroić, i ojców, co od rana do nocy zamęczają się pracą, by synowi umożliwić kształcenie się w szkołach; ze czcią i głębokiem wzruszeniem chylę głowę przed waszą pracą i miłością, rodzice, ale mimo to jeszcze raz powtarzam: kochajcie więcej swoje dzieci. Bo, choć bezwątpienia wszyscy je kochacie, ale w waszej miłości jeden jest brak, na który wam właśnie chcę zwrócić uwagę, brak, który sprawia, że wasza miłość jest jednostronna, że kochacie w swoich dzieciach przedewszystkiem, a może jedynie ciało, a zapominacie o ich duszach; dlatego mówię: kochajcie swoje dzieci więcej po chrześcijańsku!

Uczę w jednej ze szkół średnich. Zdaję sobie dobrze sprawę z tego, jak ważne zajmuje stanowisko; wiem dalej, że młodzież, którą obecnie uczę, już się może nigdy w życiu z religijną książką nie spotka (należymy bowiem do społeczeństwa, które wszystko chce poznać, czytać z wyjątkiem tylko dzieł religijnych), a zatem że powinna wyjść ze szkoły średniej, jeśli już nie z dokładnem poznaniem nauki Kościoła katolickiego, to przynajmniej z wiarą mocną: i to właśnie umocnienie wiary w duszy młodzieży przyświeca mi niejako cel pracy. Z drugiej strony tyl- ludziom zależy na tem, by nasze młode pokolenie nie było znów zbyt religijnem; wiem i o tem, że młodzieży dusza tak podatna na wszelkie zewnętrzne wpływy da się, jak wosk ugniatać, urabiać w ręku dobrego, jak i złego człowieka, że więc praca katechety może być zupełnie bezskuteczna. To też ciekawy byłem, jak to właściwie jest z religijnością młodzieńców, którzy opuszczają szkołę średnią, idą na wyższe studya lub wprost do pewnych zawodów społecznych. Z tego względu przy końcu bieżącego roku szkolnego urządziłem wśród uczniów najwyższej klasy skry-

mną ankietę religijną. Mianowicie na lekcyi religii podyktowałem im kilka pytań, na które mieli w ciągu godziny odpowiedzieć. Chodziło mi o to w pierwszym rzędzie, by pisali szczerze, ze serca, dlatego urządziłem to w klasie; gdybym im to zadał do domu, to niektórzy byliby może powyciągali zarzuty z książek, wątpliwości cudze, nie własne; nie chcąc ich krępować sobą, poleciłem, by wypracowania podpisywali nie swojem nazwiskiem, ale dowolnie wybranem godłem. To wszystko, a szczególnie forma tych odpowiedzi prosta, serdeczność i bezpośredniość w przedstawieniu osobistych przeżyć duchowych są mi rękojmią, że pisali szczerze. Oto kilka momentów z ankiety, o której mówię.

Na pytanie: Czy moja wiara jest powszechną? (t. zn. czy wierzę we wszystko, czego Kościół katolicki naucza) kilku odpowiedziało przecząco; wymienili szereg artykułów wiary, w które nie wierzą, np. nieomylność Papieża, piekło, grzech pierworodny itd. Na oko wyglądałoby to bardzo tragicznie; ale tak nie jest; pokazało się bowiem, że ci uczniowie wcale prędko zapomnieli naukę religii z klas poprzednich i że fałszywe mieli o tych kwestyach pojęcia. Ten n. p., któremu się nie podobał dogmat o piekle pisał: „Nie może mi się w głowie pomieścić, żeby mię dyabli mieli po śmierci widłami w kadzi smoły przewracać". Oczywiście nie było mi trudno wytłumaczyć, że tego wcale Kościół nie uczy, że to tylko wyskok czyjejś bujnej fantazyi. Podobnie wyjaśniłem i inne zaczepione artykuły wiary i powiedziałem, co jest dogmatem czyli nauką objawioną, a co jest przypuszczeniem lub nauką teologów; w ten sposób nastąpiła zgoda, wątpliwości ustąpiły.

Dalsze pytanie brzmiało: Czy moja wiara jest silną, a jeśli nie, co ją osłabiło? — Wielką wagę przykładałem do odpowiedzi na to pytanie. Chciałem mianowicie poznać, czy i o ile moi uczniowie obserwują swoje życie religijne, czy widzą spadek względnie podniesienie się uczuć religijnych, czy sobie zdają sprawę z doniosłości tych przemian duchowych, czy badają ich przyczyny. Otóż niektórzy potraktowali tę kwestyę dość obojętnie; znaczna jednakowoż większość wzięła się do niej z całą powagą, jaką ta rzecz ze sobą przynosi i obszernie ją omówiła. A więc podkreślono zgubny wpływ towarzystw obojętnych dla wiary, lektury niereligijnej i w. i. Co mnie jednakowoż uderzyło i z całej ankiety na pierwszy plan się wysunęło, to wskazanie rodzicielskiego wpływu, jako czynnika decydującego w religijnem wychowaniu. Jeden np. pisze: „Bywałem wśród ludzi niewierzących, czytałem książki niereligijne; bez wątpienia osłabiło to moją wiarę, a jednakowoż nie wyrzuciło jej ze serca; że się to nie stało, mam w pierwszym rzędzie do zawdzięczenia moim rodzicom. Są ludźmi prostymi; nie szukałem też u nich naukowego uzasadnienia moich wierzeń, ale zawsze działała na mnie ich serdeczna wiara, ich prosta modlitwa. Kiedy przyjeżdżałem do nich na święta lub wakacye, widziałem, jak im dobrze z Bogiem, jak im wiara wystarcza do szczęścia; to były moje rekolekcye!" Błogosławiona prostota wierzących rodziców i szlachetność młodzieńca-syna zbudowały trwałą opokę wiarę; snać do wielkiego zadania, jakiem jest tworzenie religijnego charakteru w sercu dziecka, nie potrzebują rodzice studyów uniwersyteckich. Wystarczy życie z Bogiem i w Bogu.

Natomiast inny na tosamo pytanie taką dosłownie dał odpowiedź: „Kończę szkołę średnią, pójdę między ludzi, sam odtąd będę tworzył swoje życie samodzielnie. Boję się go jednak, bo go nie mam na czem oprzeć; moja wiara, o którą się inni oprzeć chcą, dziś słaba, bardzo słaba. Największą winę pewnie ja sam za to ponoszę, ale jej część spaść musi i na tych, których najwięcej kocham — na moich rodziców! Tak! Bo w naszym domu zawsze panowała niereligijna atmosfera; matka, układając mię do snu, nigdy mię znakiem krzyża nie znaczyła; gdy byłem w niższych klasach, ksiądz nam zawsze mówił, że dzień trzeba z Bogiem zaczynać i kończyć — u nas nikt się nie modlił, nikt się też o mój pacierz nie troszczył. Gdy byłem w wyższych klasach, gdy się mną już przestano krępować, słyszałem w domu szyderstwa z procesyi, nabożeństw kościelnych, ze spowiedzi nawet. Buntowało się coś we mnie przeciw temu; bo jakże, przecież to także świętość; jeśli się nie wolno śmiać z obchodów narodowych, to czemu wolno z kościelnych? To też dziś odchodzę od rodziców w życie z żalem tem większym, że ich kochałem i kocham dotąd!!" Matko, ojcze tego syna! Wy tych słów chyba czytać nie będziecie; ale być może syn je wam kiedyś powtórzy; wyobrażam sobie, że to będzie nieszczęście dla was wielkie i cios najboleśniejszy, cios tem boleśniejszy, żeście i wy wzajemnie tego syna kochali; wasza miłość doda do niego nową przykrość, nowym będzie ciosem.

A teraz pytam się: czy taki dom, jak ten opisany przez biednego młodzieńca, to wyjątek? Niestety — jest ich więcej, a szczególnie wśród naszej inteligencyi. Niema tam modlitwy, rozmowy religijnej, niedziela od dnia powszedniego różni się tem tylko, że się w ten dzień przybiera w czystą, świeżą odzież, zresztą cały dzień, który w domach prawdziwie chrześcijańskich przez spełnianie praktyk religijnych otrzymuje piętno jakiegoś uduchowienia, tam upływa wśród nudy, którą ma usunąć spacer, teatr czy kawiarnia. Dodajmy do tego, że w tych domach przy obiedzie, kolacyi, z okazyi czyjejś wizyty wytacza się zarzuty pod adresem Kościoła, jego nauki, że ofiarą szyderstw stają się czasem spowiedź, tajemnice

wiary, to nie wolno się dziwić, że w takiej wychowane atmosferze dziecko powie kiedyś: dom rodzinny osłabił moją wiarę.

Zwróćmy się do sfer niższych. W domach inteligentnych niereligijność ujęta jest w formy bardzo nieraz kulturalne, kryje się poza ironicznym frazesem, poza dowcipnym dwuznacznikiem, lub niby naukową argumentacyą, ale ot w domu robotnika występuje bez osłon: jako pospolite szyderstwo z świętości religijnych. przekleństwo przeciw wierzącej matce lub dziecku, bluźnierstwo straszne. zdarzają się tam wypadki nawet bezczeszczenia przedmiotów religijnych. Czy nas to nie przeraża, że wiele dzieci w takich się chowa domach. Zdarzały się wypadki, że bluźnierstwa ojca napełniały dziecko wstrętem, że je nawet do Boga zbliżały, ale najczęściej idzie ono w ślady ojca. Jakże okropne spełnia on dzieło! — świadomie burzy ołtarz Boga w duszy swego dziecka, jego duchowy zabija żywot, przez to — nie wahajmy się nazwać rzeczy po imieniu — dokonuje zbrodni dzieciobójstwa! Choćby nie wiem już jak gorąco się starał o dobrobyt dziecka, — on go nie kocha, — on je nienawidzi. Bo, jeśli już sam niewierzący, Bóg go osądzi, mniejsza o to, ale niechże swemu dziecku pozwoli wierzyć!

Zapewne, że nasi czytelnicy do tego rodzaju ludzi nie należą, ale przecież po zastanowieniu się nad sobą i nad swojem wychowywaniem dzieci zauważą może niejedną w tym względzie winę! A zatem mimo wszystko, co wy, rodzice, robicie dla dzieci, nie waham się powtórzyć słów, od których zacząłem: rodzice, więcej kochajcie dzieci, t. j. więcej po chrześcijańsku! **Ks. J. P.**

Błog. Andrzej Bobola.

We wtorek 28 maja wielkie tłumy ludu towarzyszyły we wspaniałej procesyi przeniesienia relikwii bł. Andrzeja Boboli z domu OO. Jezuitów przy Małym Rynku do kościoła św. Barbary w Krakowie. Procesyę prowadziło trzech Biskupów i wielka liczba duchowieństwa. Przez cały dzień trwały nabożeństwa przy tłumnym udziale ludu, głoszono słowo Boże w tym celu, aby rozbudzić nabożeństwo do błogosławionego Kapłana i Polaka, męczennika za Wiarę świętą.

W tym samym celu przypominamy czytelnikom naszym niektóre szczegóły z życia Boboli. Urodził się w r. 1592 w województwie sandomierskiem. O latach jego dzieciństwa i pierwszej młodości nic nie wiadomo. W 19 roku życia wstąpił do zakonu OO. Jezuitów w Wilnie, gdzie po dwóch latach nowicyatu złożył śluby zakonne — w r. 1613. Wysłany został następnie przez swoich przełożonych do Braunsbergu, gdzie mu powierzono nauczanie młodzieży, następnie udał się do Połtawy, na wprost przeciwne krańce Rzeczypospolitej, i znów tam miał za obowiązek nauczanie młodzieży w szkole jezuickiej. Z Połtawy wraca za jakiś czas do Wilna i słucha tutaj wykładów teologii, uczy się pilnie, wreszcie jako już trzydziestoletni mężczyzna otrzymuje święcenia kapłańskie 12 marca 1622 roku. W czasie swoich studyów teologicznych zapoznał się z Sarbiewskim, znanym i cenionym w całej oświeconej Europie poetą łacińskim. Ponieważ Andrzej wykazywał najwięcej uzdolnienia na polu kaznodziejstwa, więc po święceniach wyznaczyli mu jego przełożeni kościół św. Kazimierza w Wilnie — w tym celu, aby tam miewał kazania. Na czas jego pracy duszpasterskiej przypada grasowanie morowego powietrza w samem mieście i okolicy. Z zapomnieniem o sobie oddawał się ksiądz Bobola pracy nad nieszczęśliwymi, podnosił i pocieszał, z narażeniem własnego życia szedł do domów zapowietrzonych, mimo że kilku kapłanów już padło ofiarą. Przy łasce Bożej jednak Bobola przetrwał zarazę szczęśliwie.

Po sześciu latach pobytu na stanowisku kaznodziei w Wilnie wysłany zostaje w r. 1630 do Bobrujska, miasta położonego nad rzeką Berezyną. Było tam Kolegium Jezuitów, ks. Bobola miał tam być superiorem. Jak wszędzie, tak i w Bobrujsku pracował gorliwie nad szerzeniem Królestwa Bożego w duszach ludzkich. Ściągał masy ludu do swego kościoła i porywał je ku Bogu zwłaszcza przez swoje kazania, bo wspomnieliśmy już poprzednio, że ks. Bobola był przedewszystkiem żarliwym znakomitym kaznodzieją. Kazaniami swemi zaszczepiał wiarę, pogłębiał obyczaje chrześcijańskie, nawet nawracał. I tak np. nawrócił popa, który rozrzewniony jego słowami całą swoją parafię do ks. Boboli przyprowadził i zgłosił przejście wszystkich na wiarę katolicką.

Był jednak Andrzej Bobola takim kaznodzieją dlatego, że był zarazem mężem modlitwy i wielkiej cnoty. Dlatego błogosławił Bóg jego słowom i dał mu dokonywać wielkich rzeczy.

Polem pracy bł. Andrzeja był wschód polski, tj. Litwa i Ruś. Był zmuszony pracować w morzu szyzmatyckiem. wśród ludzi prawosławnych, nienawiścią ku katolicyzmowi przepojonych i w dodatku pracować w czasach wojen i burz. Od wschodu napadali Moskale, na wschodnich granicach Polski wzbierały już czarne, gromowe chmury. Szyzmatyckie chłopstwo kozackie pod dowództwem swoich atamanów napadało na osady katolickie, na miasta i wsi, na kościoły i klasztory. Wyginęło wiele tysięcy ludzi, w perzynę poszły bogato wyposażone kolegia jezuickie na wschodnich kresach, jak w Smoleńsku, Pińsku, Nieświeżu i t. d. Kozaków podburzali

...w kapłanom polskim i katolickim popi prawni. Blisko czterdziestu księży poniosło straszną śmierć z rąk rozbestwionych Kozaków.

Bobola opuścił już Bobrujsk i mieszkał w Pińsku, gdzie Jezuici mieli kolegium. Gdy tam jechał, przeczuwał śmierć męczeńską, jechał jednak z poddaniem się woli Bożej. Z Pińska był zmuszony razem z innymi współbraćmi ratować się ucieczką na wieść, że zbliżają się watachy kozackie. Kozacy całe Kolegium zburzyli, nie znalazłszy jednak księży, rzucili się na okolice, by ich schwytać. Schwycili jednak tylko Bobolę na drodze do Janowa.

Na widok kozaków polecił się ks. Andrzej Bogu, zdając się na Jego wolę. Rozjuszeni i wściekli kozacy otaczają go dokoła, jeden z nich ciął go dwa razy szablą w rękę, drudzy powalili go na ziemię, zdarli z niego ubranie, przywiązali na pół nagiego do płotu i niemiłosiernie kołem obili. Potem przywiązali go do konia i pognali z sobą do Janowa. Tu pastwili się nad nim w tak okrutny sposób, iż dziw powstaje, jak człowiek potrafi tak się rozbestwić, gorzej od zwierzęcia. Skłuli go szablami, odcięli mu rękę, oczy, nos, wydarli język, aby nim nie wydawał słów modlitwy. Palili mu pierś i boki rozpalonemi pochodniami, nareszcie całego krwią zbroczonego, okrytego ranami i już konającego, porzucili na środek drogi na śmiecie i błoto, aby tam życie skończył. Tak umarł Andrzej Bobola dnia 16 maja 1657 roku.

Dokończywszy zbrodni, kozacy uciekli. Wtedy dopiero zbiegła się ludność katolicka do ciała zmarłego, okrzyk zgrozy podniósł się z ust wszystkich widzów na jego widok, ale zarazem coraz szerzej szedł głos inny: To święty! To męczennik! Pogrzeb Boboli odbył się w Pińsku. Na grobie jego działy się cuda, po których stwierdzeniu, że śmierć jego jest rzeczywiście śmiercią męczeńską, poniesioną za wiarę, Stolica Apostolska uznała go 1755 r. Męczennikiem za wiarę i Wielebnym, a w r. 1853 policzyła w szeregu błogosławionych. Dałby Bóg, aby bł. Andrzej został rychło kanonizowany.

Zmarły niedawno ks. Arcybiskup Symon opowiadał, iż w czasie objazdu w dyecezyi mohylewskiej był w Połocku, dokąd w r. 1808 ciało bł. Andrzeja zostało przeniesione i widział ciało Błogosławionego, a nawet dokonał aktu ubrania go w nowe szaty kapłańskie. Ubranie jego bowiem co pewien czas próchnieje tak, że zachodzi potrzeba zastąpienia go przez inne, natomiast ciało Boboli, aczkolwiek mocno pociemniało, trwa nienaruszone i nie ulega rozkładowi. Opowiadał Ks. Arcybiskup, że rzeczywiście widział ślady pastwienia się, np. ucięty nos, ślady skłucia szablą. Trumna, w której Bobola leżał, wyłożona była watą. Watę tę usunięto, by ją zastąpić inną. Otóż mówił Ks. Arcybiskup, że ta wata wydawała przemiłą woń — sam to stwierdził. Watę tę i szczątki ubrania rozebrali ludzie, jako drogocenne relikwie.

Wspomnieć jeszcze trzeba na końcu, że z postacią Bł. Boboli związana jest przepowiednia o wskrzeszeniu Polski. Ze wszystkich przepowiedni o losie Polski — ta jedna nosi cechy wiarygodności, tem więcej, że do dziś ze wszystkiem się ziściła — spełnić się mają jeszcze dwie rzeczy, a mianowicie, że „w układach pokojowych nastąpi wskrzeszenie Polski“ — i że Bobola będzie ogłoszony Patronem całej Polski. Kończąc tę garść szczegółów o naszym świętym — Polaku i męczenniku — zachęcić pragnęlibyśmy czytelników, aby się gorąco do niego modlili i polecać mu nie przestawali naszej ukochanej Polski.

S.

W lipcu.

Przeszły miesiące licznych nabożeństw, miesiące goręcszej, niż zwykle, modlitwy. Maj gromadził nas przed ołtarzami Maryi, wiódł nas do kościołów i kaplic Najśw. Panienki, gdzie śpiewaliśmy rzewne litanię i polecaliśmy się opiece naszej Matki w niebie. Czerwiec odsłonił przed nami pierś Zbawiciela, pokazał nam ją przebitą, a w niej Serce, najsłodsze, najmiłościwsze, Jezusowe Serce. Kupiliśmy się przed wystawionym w Monstrancyi Najśw. Sakramentem, bo wiedzieliśmy dobrze, że jest to Jezus Chrystus prawdziwy, a więc ze swojem najświętszem Sercem. Czcząc Najśw. Sakrament, czciliśmy Serce Chrystusa Pana.

Dziś już skończył się maj, przeszedł czerwiec i nadeszły wakacye, nadchodzą żniwa.

Nadeszły wakacye!

Co znaczy to słowo? czem jest ten wyraz? Idźcie ku młodym chłopcom czy dziewczętom, co chodzili do szkoły przez dziesięć blisko miesięcy i zapytajcie się ich, co to są wakacye? Zobaczycie, jak się uśmiechną, jak roztworzą ręce ku swobodzie, ku polom i niwom — i to będzie ich cała odpowiedź. Przez dwa miesiące szkoła zostaje zamknięta, nauczycielstwo rozjeżdża się do swoich rodzin, nauki nie prowadzi nikt, młody szkolnik i młoda szkolnica zostaje własnością tylko rodziny i do rozporządzenia tylko swojego domu. Więc ojcowie, a z braku tych matki, mają teraz większy obowiązek czuwania nad młodzieżą. Starsi gospodarze i gospodynie we wsi tak samo baczne mieć winny oko na młodzież, aby się nie psuła, nie wałęsała wieczorami, nie łaziła na kradzież ziemniaków czy zboża. Pewnie, że w czasie wakacyj dziecko, co się cały rok pilnie uczyło, powinno mieć trochę odpoczynku, ale z drugiej

strony źle byłoby, gdyby ono nic nie chciało robić, gdyby nie chciało pomódz matce czy ojcu w robocie domowej.

„Polski Siew“, idąc do rąk swych czytelników, pragnie ich zachęcić do jak najlepszego korzystania z tego letniego czasu. Pragnie zachęcić ojców i starszych, aby mieli na sercu dobro młodzieży, aby dobrocią i łagodnością, a gdy trzeba to surowością i skarceniem wpływali na młodzież. Młodych zaś, tych co mają wakacye, wzywa pisemko nasze do posłuszeństwa względem starszych i do brania udziału w pracy, zwłaszcza pracy koło żniw.

Bo na karku są żniwa. Żytko już dojrzewa i nie upłyną może dwa tygodnie lipca, gdy trzeba je będzie żąć, kosić, układać do bab, mendli, suszyć i zwozić. A potem przyjdzie kolej na pszenicę, na jęczmień i owies — roboty będzie huk aż do jesieni, bo co się z jednem człek upora, już na drugie przychodzi kolej. Oby Bóg dał wszystkim zdrowia i sił do pracy przy zbiorach.

Ach, dawniej, przed wojną nie rozumieliśmy tego, że to, co na ziemi rośnie, że to nasz chleb, nasze zdrowie i życie! Dziś to rozumiemy, gdy nam chleba brak, gdy go z nikąd nie dostaniemy, jeśli się nam sam nie urodzi. Dziś rozumiemy zarazem, jaka to łaska Boża. Mieszczuchy tego tak nie pojmują, jak lud ze wsi, który rolą się zajmuje, na roli pracuje i z niej żyje. Oby Bóg dał tego lata żniwa w jak największej obfitości, oby błogosławił w trudach i pracy rolnika. — My im od siebie posyłamy serdeczne „Szczęść Boże“!

Kiedy Pan Jezus chodził po świecie.

Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi,
Przed pradawnemi laty,
To się za Jego stopki jasnemi
Garnęły wszystkie kwiaty.

Szły polne lilie, niosąc kielichy
Przeczyste, wonne, białe,
A tuż za niemi powój szedł cichy
I te fijołki małe.

Bratki mu do stóp rzucały liście,
Puszyste aksamity,
A mak ku niemu płonął ogniście
W najporanniejsze świty.

Szły za Nim polem, szły za Nim [illegible]
Te rzesze bławatkowe,
I niezabudki co w rowach siedzą,
Wznosiły modrą głowę.

Stulistnej róży przejasne pąki
Woń Mu roniły swoją,
Kobierzec słały te nasze łąki,
Co pod rosami stoją.

Biała konwalia wybiegła z boru,
Zwołuje leśne kwiaty,
W sto srebrnych dzwonków do Jego dworu,
Za wiewem Jego szaty.

Otwarły oczy stokrocie drobne,
W miękkiej zieleni śpiące,
I te narcyzy gwiazdom podobne,
Co je wybiela słońce.

Szły za Nim kwiaty, szły za Nim zioła,
Płynęły falą tęczy
A złoty jaskier pochyla czoła,
I macierzanka klęczy...

A nasz Pan Jezus patrzał żałośnie
Oczyma przesmutnemi,
I błogosławił wszystko, co rośnie
I kwitnie na tej ziemi.

I takim tłumem szło owo kwiecie
Łąkami, polem, lasem,
Kiedy Pan Jezus chodził po świecie
Przed najdawniejszym czasem.

Więc dotąd jeszcze, gdy w letniej dobie
Kwiat gęsto kryje grzędy,
To starzy ludzie gadają sobie:
Pan Jezus przeszedł tędy!

Marya Konopnicka.

Żniwa.

Wielka a cudowna w przyrodzie zdarza się chwila. Na smukłych kłosach, w złocistych łanach, pod żarem słońca, przy szmerze trącających się z falami gnanemi wiatrem kłosów, dojrzewa ziarno życiodajne zboża.

Od wielu, wielu wieków corocznie to samo, a jednak człowiek myślący, corocznie z podziwem spogląda na cud Boży, co z ziarna wyprowadza roślinę, narzędzie pomnażania ziarna jednego na ziaren wiele.

Po żniwach ziarno zboża spoczywało jak martwe. Rzucono je w ziemię, pokryto ziemią przy zasiewie — a ono jeszcze martwe. Później poczęło się w niem budzić życie — powoli, powoli. Kielkuje, ciekawie różową główkę wysta-

wia ponad ziemię, jakoby las szpilek powstaje. — Niebawem różowa barwa w soczystą przemienia się zieleń. Ale już zbliżają się wichry jesienne. — Młoda roślinka, jak gdyby wiedziała, że mrozy i lody mogłyby zwarzyć młode jej życie, przestaje rosnąć. Drobnymi listkami tylko sięga powietrza. Wnet je pokryje biały całun śniegu. I znów poczyna się sen zimowy.

Dopiero gdy pod tchnieniem wiosennego ciepła śniegi stopnieją, gdy matka-ziemia rozgrzanem łonem pieści roślinkę, znów nowe w nią wstępuje życie.

W oczach niemal rośnie. Już wysoko wznosi się łodyga zielona. Za chwilę kłos chwieje się na niej, prosto stercząc ku niebu.

Wnet jednak pokornie pochylać się pocznie ku ziemi, obciążony ziarnem coraz to bogatszem, coraz to cięższem. Prawdziwe bogactwo jest pokorne, pyszny zawsze jest czczym kłosem, chociażby go w złotej umieścić oprawie.

Bo nasze łany kwitną. Dziwna woń wznosi się nad polem, tak znana a tak miła każdemu, co wzrósł wśród tych pól falujących, wśród szmeru kłosów.

I znowu się zbliża żniwo.

Tysiące, setki tysięcy ramion robotniczych ima się kosy. Przy żarze słońca, bez przestanku ostre żelazo kładzie na ziemi szerokie pokosy. Tysiące kobiet i dziewcząt za kosiarzami zbiera plon.

Żniwo — to podstawa życia. — Złotem najeść się nie można. Żniwo — to ciężki znój — to chwila ciężkiej pracy dla setek tysięcy ramion robotniczych. Ciężka praca — ale w duszy zadowolenie po dokonanej pracy, jak po dokonanym dobrym uczynku.

A z tych setek tysięcy robotników, co zdala od pól ojczystych w ciemnej kopalni czarny dobywają węgiel, co w skwarnej hucie żelaznej olbrzymie kują kawały żelaza, co roztopiony spiż leją w formy, by stężał i służył człowiekowi — oni raz po raz, jeśli Bóg dał im to szczęście, że młodość na wsi spędzili, oni pół z żalem, pół z tęsknotą sobie wspominają: „Już tam pewnie nasi w domu przy żniwach — już posiekli — już zwożą".

Biedne te dzieci, co w mieście mieszkając, nie znają tego Bożego cudu dojrzewania łanu zbożowego, co nie wiedzą ani o trudach, ani o uciechach życia poza murami domu i miasta.

Corocznie ziarno odrodzone wraca do ziemi, by za rok przynieść wieloraki plon.

I w nasze serca Bóg włożył złote ziarno — i oczekuje plonu. On nie chce, byśmy zdolności nasze zakopywali, by one spoczywały bez użytku i korzyści.

Przyjdzie czas, gdzie zażąda od nas rachunku.

Pracujmyż tedy, każdy nad sobą wpierw — ale zawsze z życzliwą myślą o wszystkich i wszystkim nam wspólnym celu w życiu przyszłom, które się rozpocznie po żniwie, w którem my padniemy, jako kłosy podcięte kosą śmierci.

(Robotnik).

Na powitanie naszych księży Prymicyantów.

Co za radość jakaś niezwykła panowała w wielu parafiach polskiej ziemi w niedziele czerwca i lipca? Biją rozgłośnie dzwony, z wiosek podąża orszak pobożny, cisną się tłumy i z dziwną pobożnością i rozrzewnieniem spoglądają na młodzieńca w suknie święte przybranego. Dziewczęta okoliły go wieńcem i wiodą przez pola i łany, a te łany jakby ścielą się i kłaniają i mówić się zdają: „Witaj nam!" Kwiaty się radują: „I my chcemy uświetnić tę chwilę!" — I wchodzi pochód w mury kościoła parafialnego i przed ołtarzem przybranym w kwiecie staje młody kapłan, ksiądz Prymicyant.

W kościołach katedralnych na ziemi polskiej w ubiegłym miesiącu dokonali księża Biskupi święceń kapłańskich. Ceremonii udzielania święceń kapłańskich kilkudziesięciu wybrańcom przyglądało się wielu pobożnych, bliskich i krewnych w katedrze na Wawelu dn. 16 czerwca, widzieli dopełnienie przez Biskupa tej wielkiej tajemnicy, jaką jest kapłaństwo Chrystusowe. Niezgłębiona to tajemnica, niewyczerpana, jak morze, niezmierzona, jak firmament, a jednak tak dobrze rzec można rozumie ją lud polski katolicki, który taką czcią i miłością darzy swych kapłanów, który im i usterki wybaczy i cieszy się i wybucha radością, gdy widzi nowego kapłana.

Oto znowu spora gromadka młodych kapłanów, dziś Prymicyantów staje we winnicy Pańskiej, by uprawiać rolę, rozpocząć żniwo, spełniać swe kapłańskie czynności dla uświęcenia i zbawienia dusz ludzkich. Radujmy się tedy i witajmy okrzykiem wesela tych, na których w blasku promiennym kapłaństwa Pan rzucił swe odbicie; niech się napełnią radością serca wszystkich, którzy mają wiarę dobrą i rozumieją, czem jest kapłaństwo

Chrystusowe, najwyższą godnością, najpiękniejszą ozdobą, najgłębszą tajemnicą przez to trwałe działanie przeświętego charakteru święceń kapłańskich. Dzisiejszemu światu zimnemu, zatracającemu wiarę, to obce, niezrozumiałe, nie pojmując Chrystusa, nie pojmują kapłaństwa.

Niedługo rozesłani zostaną po parafiach młodzi kapłani, by tam pracować i działać nad dobrem dusz im powierzonych, by opatrywać ich potrzeby duszy i ciała, doczesne zarówno, jak i wieczne. Zobaczycie ich w waszych wioskach, w chatkach, gdzie przyjdą, by wami pokierować i poprowadzić. A przeto powitajmy naszych księży Prymicyantów głosem radości i wesela, cieszmy się wraz z Kościołem katolickim, który w każdym nowym kapłanie niejako się odmładza i okazuje swą ciągłą, dziewiczą żywotność, w każdej nowej Mszy św. czerpie swą wszystko zwyciężającą, nieodpartą moc.

Ale pamiętajcie, drodzy czytelnicy o jednym obowiązku, jaki ciąży na wszystkich, a więc i na was: o obowiązku modlitwy za kapłana swego. Tedy zanośmy modlitwę gorąco na intencyę naszych księży Prymicyantów: „O Jezu, wieczny kapłanie, zachowaj tego sługę Twojego w opiece najsłodszego Serca Twego, gdzie mu nikt szkodzić nie może! Zachowaj jego namaszczone ręce niepokalane, które codzień dotykać się będą Ciała Twojego! Zachowaj jego wargi nieskalane, które Twą świętą Krwią zarumienione. Zachowaj jego serce czyste i nadziemskie, które zapieczętowane jest znakiem Twego kapłaństwa. Twą miłością go otaczaj i broń przed zepsuciem świata! Błogosław jego prace plonem bogatym, a ci, którym on służył będzie, niech się staną jego radością i pociechą, a w niebie piękną koroną wieczną go przyozdobią".

Złote ziarna.

(X. Piotra Skargi).

Obowiązek społeczny.

Wszyscy miłosierni bądźmy, bo bez tej cnoty żadna się P. Bogu nie podoba. Bez miłości nie waży nic ani czystość, ani post, ani sprawiedliwość. Na tę cnotę wszyscy są obowiązani. Nie wszyscy mogą pościć, długo się modlić, za Chrystusa krew rozlewać, ale wszyscy mogą być miłosierni, aby ludzkie nędze bliźnich swoich odganiali: pociechą, płaczem, żalem, pieniądzmi, pomocą, radą. Nie możesz dać wiele, daj mało; nie mogąc dać pieniędzy: daj radę, pociechę, naukę, słowo dobre i pocieszne. Bez miłosierdzia cnoty inne są jako dom bez jednej ściany, ptak bez jednego skrzydła, potrawa bez soli, mowa bez prawdy, wiara bez uczynków. Za miłosiernymi P. Jezus na sądzie dekret uczyni, aby osiągnęli niebo, a niemiłosierne wiecznym pokarze ogniem.

(Kaz. na niedz. 6. po Św.).

Miłość ku bliźnim im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada, lepiej wszystkie, którzy w mieście jednem są, a jeszcze lepiej wszystkie obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, albo dla nich co cierpiem.

(Kaz. Sejmow. 2-gie).

Błogosławieni cisi,
Bo są jak w polu kłos —
Nigdy ich w szpon tygrysi
Nie chwyci wrogi los.
Dąb runie w jednej chwili
Kłos tylko się pochyli.
Błogosławieni cisi,
Oni nie znają burz;
Lwia dzikość, podstęp lisi
Nie wtargną do ich dusz.
Świat wichrzą namiętności —
W ich sercach niebo gości.
Błogosławieni cisi,
Bowiem przetrwają złych,
Zły los nad niemi wisi,
Lecz nie ugodzi w nich.
Przez życie przejdą cało —
Śmierć ich otoczy chwałą.

Wiktor Gomulicki.

Posłuszeństwo dzieci.

Łódź, która płynie po wodzie, musi mieć swego sternika. Łódź bez sternika popłynie także, ale gdzie się zatrzyma, nie wiadomo; czy się nie rozbije, albo czy nie zatonie, któż to odgadnie. Taką łódką jest dziecko. I ono musi mieć swego ster-

nika, a z ustanowienia Bożego sternikami jego są ojciec i matka. Oni mają kierować wolą dziecka, aby nie szło samopas i nie kierowało się swemi zachciankami i przywidzeniami, boby weszło na bezdroża złego życia. Słabe drzewko w sadzie podpiera się palikiem, a słabą wolę dziecka podpiera się rozkazem, radą, zachętą i rózgą.

Póki dziecko pozostaje pod władzą rodzicielską, musi się stosować do woli rodziców, czyli, musi być rodzicom posłuszne. Pan Jezus zostawił dzieciom przykład niezrównany: On, Bóg, podlegał rodzicom, a raczej Matce swej i Opiekunowi do trzydziestego roku życia.

Dziecko nie powinno nigdy do rodziców przemawiać tak: Nie chcę, nie pójdę, nie zrobię. Ani też rodzice nie powinni nigdy pytać dziecka, czy chce, czy pójdzie, czy zrobi. Dziecko nie ma mieć swej woli, ale wola rodziców ma mu być przewodnikiem we wszystkiem. Rodzice nie powinni się pytać dziecka, czy chce, tylko mają mu kazać robić tak, jak sami uznają to za dobre. Gdy zaś ojciec lub matka raz co dziecku robić rozkaże, to nie może się cofać, tylko ma nastawać, aby rozkaz był wykonany. Biada ojcu i matce, gdy nie mogą przeprowadzić tego, co sami chcą, ale się muszą stosować do woli swych dzieci. Niech dziecko płacze, jak chce, niech szlocha, niech się opiera, jak chce, ojciec i matka ustąpić nie mogą. Nigdy dziecko nie może postawić na swojem. Jeżeli dziecko raz się oprze, jeżeli matka raz ustąpi, to dziecko zaczyna panować, bo odniosło zwycięstwo.

Pytam się raz matki: „Chodzi wasz chłopiec do szkoły?“ Odpowiada: „Nie“. „A czemuż nie chodzi?“ — pytam dalej. „A nie chce huncwot chodzić“ — odpowiada matka. Biedna matka! Małe dziecko nią kieruje. Co będzie później? A ileż to jest takich słabych matek.

Do posłuszeństwa nakłaniać trzeba dzieci nie wtedy, gdy już wyrosną, ale zaraz, gdy jeszcze w kolebce leżą. Im młodsze drzewko, tem je łatwiej nagniesz; starsze się złamie, ale nagiąć się nie pozwoli. Tak samo jest z dziećmi.

Posłuszne dziecko — to najlepsze dziecko i największe szczęście rodziców. „Ja mam dobre dzieci, posłuszne“ — chwali się czasem taka matka. I rzeczywiście. Choćby dziecko było mądre, pojętne, grzeczne, zdrowe i piękne, jeżeli nie jest posłuszne, jest zmartwieniem rodziców, a przyjdzie czas, że będzie i hańbą rodziców.

Słabej matce krwawi się serce, gdy jej przyjdzie dziecku się oprzeć, albo je zmusić do tego, czego ono robić nie chce, albo wreszcie zakazać mu tego, czego dziecko pożąda. Lecz czy nie lepiej, że za młodu ma z dzieckiem walkę, a później ma z niego chlubę, aniżeli gdy za młodu dziecku ustępuje, a później z powodu niego gorzkie łzy wylewa? Więc najważniejsza cnota dzieci — **posłuszeństwo.**

Im wyżej, wyżej wzbijasz ponad ziemię ducha,
Tem większy cię napełnia spokój i otucha.

Bohdan Zaleski

O zabobonach.

Dla załatwienia pewnych spraw musiałem się udać do Krakowa. Podróż w dzisiejszych czasach nie należy wcale do przyjemności wobec przepełnionych wagonów podróżującymi, między którymi przewagę stanowią bracia starozakonni. I ja miałem tę przyjemność, że musiałem stać cały czas w krużganku wagonu tem więcej, że należąc do płci brzydkiej, wypadało damom ustąpić miejsca, przeznaczonego do siedzenia. To też z największą radością opuściłem wagon, kiedy pociąg zatrzymał się w Krakowie, żywiąc nadzieję, że przynajmniej w dorożce trochę wypocznę, która mnie miała zawieźć do mojego przyjaciela mieszkającego na ulicy N. l. 13. Niestety, dorożki dla mnie nie było, trzeba było pieszo iść. Za kwadrans znalazłem się już na ulicy pożądanej — teraz trzeba było tylko odszukać dom z l. 13. Ale tu się cała trudność okazała: przebiegam ulicę całą, znalazłem liczby 15, 17, 11 — ale trzynastki nigdzie — natomiast znalazłem 12a. Cóż to znaczy, przecież mój przyjaciel pod trzynastką mieszka. W tej chwili mego zakłopotania, wstaje sędziwy mężczyzna w poważnym kaftanie, starozakonny jegomość i objaśnia mnie, że 12a zastępuje trzynastkę. Tak — zaraz zrozumiałem, o co się rozchodzi: a więc i nasz Kraków zaczyna chorować na zabobony. Dziwna rzecz, że tej trzynastki ludzie się tak boją i to nietylko prości, ale powiedziałbym jeszcze więcej inteligenci. W Paryżu musiano z loż teatralnych trzynastkę usunąć, bo nikt nie chciał takiej loży kupować.

Nie jestto jednak jedyny rodzaj zabobonów, mamy ich bardzo dużo, prawie każdy stan, każdy okres życia ma swoje, mają je ubodzy i bogaci, prostacy i... inteligentni. Wieśniaczka nie sprzeda mleka po zachodzie słońca, boby krowa mleko straciła; jeżeli się mleko przez wodę przenosi, trzeba je posolić, boby mleka krowom ubyło. Gdzieindziej narzeczeni nie żenią się jak tylko wtedy, kiedy księżyca przybywa, bo to ma wróżyć o mnożeniu się dostatku. Młoda panna musi oblubieńcowi welonem nogi nakryć przy ślubie, bo to zapewnia jej panowanie w domu, a małżonkowi tytuł bohatera pantoflanego. W ogólności, jeżeli ślub się odbywa w kościele, to wtedy cała masa dziewcząt a nawet i kobiet przychodzi do kościoła i z całą dokładnością śledzi każdy ruch

a nawet i głos oblubieńców, wysuwając stąd różne wnioski co do przyszłego losu nowożeńców.

Przypatrując się tym rozlicznym a tak śmiesznym i niedorzecznym zabobonom, mimowoli odnosi się wrażenie, jakby się jeszcze żyło w czasach pogańskich. Tam poganin czcił słońce, gwiazdy, w ogóle stworzenia, składał im ofiary, lękał się ich, przypisując im moc, którą od Boga posiadały — tu tak samo przypisują nasi chrześcianie rzeczom moc, której nie mają ani mieć nie mogą. Bo jakiż wpływ może wywierać trzynastka na życie nasze. Czyż to nie jest śmieszne, bać się tego, com sam albo kto inny napisał.

Już dwa tysiące lat dobiega, odkąd Pan Jezus w swojem prześlicznem kazaniu na górze, nas dokładnie pouczył o rządach Bożych w wszechświecie, o Jego trosce, nawet o wróbla, który nie sieje ani żnie, a żyje, albo o lilii polnej, którą Ojciec niebieski przystraja w piękniejszą szatę niż król Salamon w swojej chwale posiadał — bez woli Bożej ani włos z głowy człowiekowi nie spadnie. Taka jest nauka Chrystusa Pana, taką też Kościół ciągle głosi — a tymczasem my stwarzamy sobie nowe artykuły wiary; wierzymy wprawdzie w jednego Boga, ale obok Niego przyjmujemy cały szereg mniejszych bożków, których się lękamy nieraz więcej niż samego Boga — bo pod trzynastką nikt mieszkać nie chce, a przynajmniej owi, którzy hołdują temu zabobonowi, a tymczasem ci sami nie lękają się przekraczać przykazania Pańskie. Zabobony trącą dużo pogaństwem. Dlatego też wszelkie zabobony są niegodne chrześcianina i grz[illegible].

Ale warto się nad tem zastanowić, skąd czerpią zabobony swoją siłę, gdzie tkwi ich źródło. Przedewszystkiem w duszy. Jak każdy kwiatek, każda roślina zwraca swą główkę ku słońcu, skąd czerpie siły i wzrost, tak i dusza nasza z natury swej zwraca się ku Bogu, szuka Go, czując swoją od Niego zależność, pragnąc Go poznać, kochać, służyć. Jeżeli duszy naszej pozwolimy iść za tem jej naturalnym popędem i pragnieniem, to wtedy ona odczuwa wewnętrzny spokój, wynikający z tego wewnętrznego przeświadczenia, że jest na właściwej drodze, która ją prowadzi do źródła swego bytu i szczęścia. W miarę tego, że się tak wyrażę, posuwania ku Bogu przez życie cnotliwe a zgodne z nauką Chrystusa Pana, wzrasta wiara nasza, mężnieje ufność w dobroć Bożą, rozpala się miłość ku Bogu — w takiej duszy niema miejsca na przesady, zabobony. Ze św. Pawłem powtarza sobie taki człowiek: „Wiem, komum uwierzył“ (2 Tim. 1, 12.) — „albowiem pewien jestem, iż ani śmierć ani żywot ani aniołowie ani księstwa ani mocarstwa ani teraźniejsze czasy ani przyszłe ani moc ani wysokość ani głębokość ani insze stworzenie nie będzie nas mogło odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie Panu naszym“ (do Rzym. 8, 38, 39.).

Inaczej dzieje się z duszą, którą w tym naturalnym jej biegu ku Panu Bogu powstrzymujemy, albo inne cele jej w miejsce Boga lub obok Boga wyznaczamy. Dusza taka, to jakby roślina bez słońca, wietrzeje, staje się jakby bezkrwista, słaba i lękliwa. Łatwo ją jakimkolwiek bądź przesądem nastraszyć. Jak dzieci można kominiarzem nastraszyć, to tak samo i owym ludziom można takiego strachu napędzić, że nie będą najmować mieszkań, gdzie trzynastka się znajduje, albo przeprowadzać się w piątek, jako w dniu „feralnym“.

Że istnieją zabobony i to nawet w dzisiejszych czasach kultury i oświaty, to dowód, że dusza w Boga wierzyć musi, że wiary tej wyrugować nie można; a jeżeli ktoś ręką świętokradzką chciałby ją komuś wydrzeć, to go mimowoli popycha w objęcia zabobonów, a w dalszem następstwie pogaństwa.

Święci w zabobony nie wierzyli. Jeżeli kto chrześcianin-katolik wierzy w takie głupstwa, to dowodzi to tylko, że ma słabą wiarę. Wierzy on wprawdzie w Boga, ale nie takiego, jak go wiara nasza św. katolicka przedstawia: wszechmocnego, wszystko wiedzącego, bez którego nic się nie stało, co się stało, ale słabego, któremu każdy zając przelatujący nam przez drogę, albo kobieta, którą spotykamy pierwszą z rana, może zamiary Jego względem nas pokrzyżować. [illegible] taki Bóg to nie Bóg. Nic dziwnego, że wierzenie w zabobony jest grzechem przeciwko 1. przykazaniu Boskiemu, bo one poprostu obniżają Majestat Boży, obdzierają Go z tych przymiotów, które Go od stworzeń wyróżniają. J. Sz.

Jeszcze o pojedynkach.

Donosiliśmy czytelnikom naszym niedawno o zniesieniu pojedynków w austryackiej armii, gdzie pojedynek nie tylko był dopuszczalny lecz oficer nieraz był poprostu zmuszony do niego, inaczej bowiem tracił rangę oficerską. Wyraziliśmy przy tej sposobności swe zadowolenie i nadzieję, że w ten sposób uczyniony został krok naprzód do zupełnego zaniechania pojedynku, jako przeżytku barbarzyńskich czasów, jako rzeczy, która sprzeciwia się zasadom zdrowego rozsądku i jest nadto potępiona przez Kościół.

Niestety! nadzieje nasze okazały się bezpodstawne, dzienniki nie wiadomo na jakiej podstawie wadomość tę rozniosły po kraju. W pierwszych bowiem dniach czerwca tego roku wydały wiedeńskie pisma urzędowe wyjaśnienie, iż nieprawdą jest, jakoby cesarz zniósł pojedynki w armii. Nadal więc będą pojedynki w wojsku dopuszczalne. Tak więc długi czas zdaje się jeszcze upłynie, zanim kultura chrześciańska obali ten przeżytek średniowiecznych „rycerskich“ czasów.

Czytajmy książki!

Rzadko do niedawna, a coraz częściej dziś spotkać można na wsi i w mieście prostego człowieka, który czytuje pisma i książki, a czytuje z takiem zajęciem, że go trudno od książek oderwać. W mieście czyta dziś rzemieślnik, na wsi chłop, rolnik czy wyrobnik, stary i młody. Prawda to, że są jeszcze u nas ludziska starej daty, co to wolą fajkę dusić i mieszkiem trząść i wylegiwać się na wyrku, a gdy im wspomnisz o czytaniu, to ci odpowiedzą, że ich starzy ojcowie ani czytać, ani pisać nie umieli, a takoj żyli. Są jeszcze tacy u nas, prawda, ale Bogu dzięki, że ich jest coraz mniej. Rodzaj ten ociężały, leniwy i gnuśny zanika coraz więcej, a przyjdą czasy, że ich i ze świecą w garści nie znajdziesz. Natomiast coraz więcej jest ludzi, którzy kochają gazetkę i książkę. Dziś to już byle kto czyta. Każdy się garnie do książki.

Objaw to bardzo piękny i bardzo dodatni. Kto bowiem lubi książki, może się z nich nauczyć prawdziwej mądrości, może poznać lepiej ludzi, świat i Boga, może przez nie rozwinąć swój umysł i serce i prawdziwie się uświęcić. Ileż to jest wspaniałych książek, które pisali święci! ileż to mamy dzieł, które wyszły z pod pióra takich pisarzy, jak Sienkiewicz! Kto nie umie lub nie chce czytać, ten nigdy nie pojmie, jaka to radość mieć u siebie ładną, dobrą książkę i czytać. Kto zasmakuje w czytaniu pożytecznych i dobrych książek, ten odwyka od kieliszka, od karczmy, od włóczęgostwa po wieczorach, od muzyk i bijatyk nocnych, bo on woli książkę, bo mu milsza książka nad wódkę i nad piwo.

Z drugiej strony jednak powinno się bardzo uważać, jaka to książka, którą ktoś czyta? czy dobra, czy zła? Bo jeśli dobra książka człowieka naprawi, to zła z gruntu zepsuje i skrzywi. Zła książka, to wróg gorszy od człowieka, bo człowiek zły nieraz tam nie dojdzie, gdzie dojść potrafi książka.

Dlatego ludzie prości — na wsi i w mieście — starać się winni o to, aby mieli podostatkiem książek dobrych i aby nikt nie miał dostępu do książek złych i niegodziwych. Sposób na to byłby jeden — niezawodny, a mianowicie taki: Niech się zbiorą gospodarze i gospodynie z całej parafii, albo przynajmniej niech się kilkanaście osób zbierze i niech proszą księdza proboszcza, by im utworzył książnicę czyli bibliotekę parafialną. Byłaby gdzieś na plebanii lub gdzie w domu blizko kościoła izba z półkami na książki, w niej przechowywałyby się książki, po które mogliby przychodzić parafianie co niedziela. Czytaliby je po przeczytaniu oddawali i brali znów inne i tak ciągle. Książekby nie zbrakło, bo parafianie mogliby na ten cel robić składki, albo też każdy pożyczający dawałby za pożyczenie książki jaką małą kwotę, z tego zaś rosłaby większa kwota, za którą możnaby dokupywać coraz więcej książek. Nie będziemy się zresztą rozpisywać, w jaki sposób taką rzecz możnaby urządzić. Niech tylko parafianie wyślą do swego księdza kilku ludzi z prośbą o to, a ksiądz z nimi już uradzi, jak to wykonać. Ksiądz Arcybiskup Kakowski w Warszawie nakazał w swej dyecezyi zakładać takie biblioteki. Kładziemy to na serce swoim czytelnikom, jako rzecz niezmiernej wagi. Oby to każdy ocenił należycie! oby to wszyscy zrozumieli! Obyśmy się wnet doczekali bibliotek parafialnych!

s.

Cywilizator z krzyżem w ręku, to mąż Boży —
Z iglicówką — to czarta syn, spuszczon z obroży. —

Bohdan Zaleski.

List z Michałowic.

Pamiętnym dniem dla kobiet z Michałowic i Młodziejowic będzie niedziela 2. czerwca b. r. Już od rana kościółek parafialny w Więcławicach wyglądał odświętnie. Pięknie przybrany ołtarz Serca Jezusowego otoczyła dość liczna gromadka kobiet. U nich dziś duże święto, bo oto dwie z nich, Petronela Patecka z Michałowic i Wiktorya Cygan z Młodziejowic w nagrodę za dotychczasową pracę nad rozszerzeniem Apostolstwa w swych wioskach zostały uroczyście mianowane zelatorkami. Ksiądz Proboszcz zapowiedział z ambony, że po nieszporze będzie zebranie organizacyjne kobiet, należących do Apostolstwa Modlitwy. Chociaż bowiem od zaprowadzenia Apostolstwa w naszej parafii minęło już dwa lata, to dotąd poza tem, że tylko niewielką ilość członkiń zbierały raz w miesiącu zelatorki, dziś mianowane, w swych wioskach, większej organizacyi kobiet nie było. Teraz dopiero praca mozolna zelatorek wydała owoce. Już na całą godzinę przed zapowiedzianem zebraniem zaczęły się krzątać kobiety, żeby w sali szkolnej, w której miało być zebranie coś przygotować. Zawiesiły duży obraz Serca Jezusowego, pięknie przybrały salę. Najpierwej zjawiła się garstka zorganizowanych już kobiet, wkrótce jednak zapełniła się dość obszerne sala szkolna. Na zebranie przybyła też zelatorka z Młodziejowic ze swoją gromadką. W dłuższem przemówieniu wykazał Ksiądz Dyrektor jaki pożytek przynoszą podobne Stowarzyszenia, jak, zbierając się razem, będą mogły się zastanawiać, jakby można lepiej wychowywać dzieci, jak podnieść moralność, dobrobyt, zdrowotność wioski i jak coraz lepiej będą mogły się oświecać. Po przemowie Księdza Dyrektora na-

sza pani kierowniczka, p. Helena Dąbrowska, objaśniła nam intencyę tego miesiąca, a gdy znowu temat pogadanki wszedł na kwestyę wychowania, gospodarz Józef Tabiś z Młodziejowic mówił o tem, jak wielką pomocą w wychowaniu dzieci są ochronki, i jak one pomagają rodzicom w urabianiu młodych charakterów. Poruszono smutne położenie ochraniarki, która nie mogąc wskutek zapomnienia o niej wyżyć, postanowiła opuścić Michałowice. Zapewne na najbliższem, większem zebraniu poruszy się tę sprawę i pracę w tym względzie między Wydział Związku podzieli. Chcąc wreszcie spełnić życzenie Ojca św., cały Związek poddał się pod władzę Serca Jezusowego. Chwila ta złączyła nas i wszystkie uczułyśmy się siostrami pod opieką i rządami Serca Jezusowego. Po tej uroczystej chwili przystąpiłyśmy do wyborów. Patronem Związku jest Ksiądz Dyrektor Michał Wroński. Kierowniczką pani Helena Dąbrowska. Wszystkie członkinie podzielono na dwie trzydziestki. Ponieważ prawie wszystkie obecne należą do Żywego Różańca, więc każda trzydziestka będzie się dzielić na dwa kółka Żywego Różańca. Na czele tych pozostaną dotychczasowe starsze. W pierwszej trzydziestce, która już zorganizowała się częściowo, zelatorką jest Patecka, sekretarką Eleonora Białko, skarbniczką Anastazya Tryańska, kontrolorką Józefa Bubka. Starszemi w piętnastkach zelatorki, a w drugiej Tekla Wywiał. Uchwalono dawać 50 hal. wkładki miesięcznej. W pierwszą niedzielę będzie zawsze zebranie główne o godz. 5 popołudniu. Zresztą zaś w każdą niedzielę będą mogły przychodzić kobiety, żeby coś usłyszeć, przeczytać, poradzić. Późnym wieczorem rozeszły się obecne, unosząc ze sobą silną wiarę w lepsze jutro. **Jan Calik.**

Pszenica Królowej Kingi.

Srogi Mongół pustoszył Polskę, palił domy Boże, rabował miasteczka i ludzi w niewolę zabierał. Już był niedaleko Starego Sącza, a królowa Kinga, będąca tam ksienią, zabrała zakonnice z klasztoru i poczęła uchodzić w góry.

Sieje góral ozimą pszenicę, a wtem widzi one niewiasty, uciekające ku górom.

— Szczęść Boże! — rzecze zakonnica na przodzie idąca.

— Daj, Panie Boże! — odpowiada góral.

— Słuchaj, człowiecze! — rzeknie owa niewiasta — jutro będzie nas gonił nieprzyjaciel i zapyta cię, czyśmy tędy nie szły. Więc mu odpowiedz, że szłyśmy tędy, ale wtenczas, gdyś siał tę pszenicę.

Na drugi dzień zrana idzie i staje jak skamieniały, bo na onem polu, gdzie wczoraj siał pszenicę już dziś kłosy bujają. Wtem nadlatuje ćma Mongołów, a jeden pyta:

— Czy nie widziałeś tu wczoraj uciekających zakonnic?

— Widziałem! — odpowie góral — ale prawie wtenczas, jak tę pszenicę siałem.

Wtedy najezdnik krzyknie na swoich:

— Wracajmy, już ich nikt nie dogoni!

I nawróciła się horda tą samą drogą, którą przyszła, a nikt więcej nie oglądał Tatarów w tamtych stronach.

O uczuciach.

W duszy naszej wiele jest jeszcze niezbadanych spraw. Znamy je wszystkie — ale gdy się zabierzemy do ich zbadania, wtedy braknie nam słów i myśli.

Wiem, co to jest czas — powiada św. Augustyn — ale tylko dopóty, kiedy mnie się nikt nie pyta o wytłumaczenie tego, co to jest właściwie czas.

Podobnie w duszy naszej. Każdy wie, co to jest uczucie, ale gdy się dokładnie o to pytamy, wtedy każdy zaczyna się jąkać, namyślać i w końcu powie, że nie wie.

Nie myślimy dzisiaj dać odpowiedzi odrazu na to zapytanie, co to jest uczucie, ale tylko pragniemy kilka promieni światła rzucić dla lepszego zrozumienia.

Uczucia poznajemy dokładniej, jeśli zważymy, jak one się dzielą na dwa wielkie rodzaje: jedne są uczucia nam miłe i przyjemne — drugie wstrętne i przykre.

Przy każdej czynności człowieka powstają zarazem też uczucia i to równocześnie albo przyjemne lub nieprzyjemne. Nawet gdy rozum lub wola nasza działa, nawet wtedy przytem i potem powstają rozmaite uczucia, które wszakże przydzielić można do jednego albo drugiego rodzaju.

Uczeni także tem się zajmują i badają, jak działanie narządów naszego ciała, nerwów, mózgu wpływa na nasze uczucia, a przez to i na duszę naszą.

Naodwrót także uczucia przyjemne czy też nieprzyjemne wpływają na ciało, szczególnie na nerwy.

Ciekawą bardzo rzeczą jest śledzić, jak np. nerwy, które pomocne są nam przy działaniu żołądka i przy trawieniu, podlegają rozmaitym w nas powstającym uczuciom.

Często się zdarza, że popsuje się nam apetyt zupełnie — i to tylko przez usposobienie uczuć naszych. Są np. ludzie, siadający do stołu z najlepszym apetytem, ale gdyby ich coś zirytowało — natychmiast tracą apetyt i nie mogą przełknąć niczego.

Naodwrót znowu inni ludzie skutkiem gniewu odrazu odczuwają wielki głód i muszą go jak najrychlej zaspokoić.

O innych doczytujemy się, że nieraz zapominają zupełnie o jedzeniu, są poprostu syci: pracą, lub nawet — jak twierdzą o młodych — miłością. Szkoda tylko, że nasycenie to nie trwa długo.

Ciekawych sposobów chwytają się uczeni, aby te dziwy przyrody zbadać dokładniej.

Otóż śledzą te objawy na zwierzętach. Przywiązanego silnie psa wprawiono w straszną złość i wściekłość, trzymając przed nim kota, wieczystego wroga. Gdy potem dano psu zwykłą strawę, wykazało się, że wiele mniej niż zwykle powstało w zwierzęciu soków żołądkowych, tak, że strawienie mogło być tylko niezupełne.

Jak to tłumaczyć? Otóż przez złość wielką nerwy żołądkowe doznały zaburzenia tak dalece, że nie mogły działać prawidłowo.

Doświadczenie powyższe powtarzano bardzo często, ten sam skutek ukazywał się także podczas jedzenia i po jedzeniu.

Czegoż uczą nas powyższe wywody? Najprzód pokazują nam, jak ścisły jest związek między duszą i ciałem. Dalej wyjaśniają nam sporo istotę uczuć, a wkońcu uczą nas, jak to słusznie od wieków już starano się, by przed i podczas i po jedzeniu wzbudzać uczucia przyjemne i miłe, które ułatwiają nerwom ich czynność.

Przyczynimy się dla zdrowia naszego i rodzin, jeśli unikać będziemy sporów i przykrości, jeśli z drugiej strony uczucia miłości i radości w sercach wzbudzać będziemy.

Próba.

(Legenda wschodnia).

I.

Pewnego razu rzekł kalif Harun-al-Raszyd do swego wiernego przyjaciela Diafara:

— Źle spałem tej nocy; czuję nawet trochę gorączki, sprowadź mi doktora.

Przyszedł nadworny doktor.

— Powiedz mi, co mi jest? — rzekł Harun, wyciągając dłoń do przybyłego.

Doktor obliczył puls, pokiwał głową, mruknął coś niezrozumiałe, a potem podniósł rękę i przemówił uroczyście:

— Władco prawowiernych! Wyznam ci całą prawdę, za którą jestem gotów oddać głowę: oto, podobnie jak pieniądze spoczywają w szkatule kupca, nuty w tece muzyka, ziarno zboża w spichrzu rolnika, tak dni nasze są w ręku Allaha!

— Wiem o tem — odparł kalif. — Ale ile ich dla mnie zachował Allah? Pragnąłbym to wiedzieć.

— Dwadzieścia lat — odrzekł doktor z westchnieniem. — Tylko dwadzieścia lat.

— To jeszcze nieźle — rzekł Diafar. — Gdybym ja mógł być tak pewien swoich lat! Odejdź, już jesteś niepotrzebny, pan mój zaśnie teraz.

Doktor odszedł.

Harun, podłożywszy rękę pod głowę, przymknął oczy, ale nie mógł odzyskać spokoju.

— Dwadzieścia lat — powiedział — to wiele, jeśli ich się dobrze użyje; mało, jeśli ich się źle użyje. Ponieważ dni moje są policzone, nie chcę stracić ani jednego. Słuchaj, Diafarze, gdyby ci pozostał tylko jeden dzień życia, rozumiesz? Jakbyś go przepędził?

Diafar spojrzał zrazu na Haruna z pewną obawą, gdyż jego przyjaciel, kalif, miewał niekiedy okrutne wybryki; poczem odparł, skłoniwszy się nisko.

— W dniu tym pisałbym na arkuszu pergaminu pochwały o tobie, wielki władco!

— Wiesz dobrze — rzekł Harun — że zanadto cenię przyjaźń twoją, abym cię chciał wystawić na próbę. Ale przyprowadź mi tutaj trzech ludzi: kupca, muzyka i rolnika, pierwszych, których napotkasz. Chcę ich wybadać.

Kalif nie czekał długo, wkrótce bowiem wrócił Diafar, prowadząc trzech ludzi.

— Oto są — rzekł, wskazując na nich ręką: — kupiec Jusuf, muzyk Said, rolnik Hassan. Spotkałem ich na ulicy.

— Czy to prawda — spytał kalif surowo — że ci ludzie ośmielili się źle mówić o mnie?

— Tak — odrzekł Diafar. — Pierwszy mówił, że nakładasz za duże podatki; drugi, że za mało dajesz świąt, trzeci, że już niema sprawiedliwości w Bagdadzie.

Trzej ludzie chcieli temu zaprzeczyć. Diafar powstrzymał ich wzrokiem.

— Jeżeli tego nie mówili, z pewnością myśleli.

— Dobrze — rzekł Harun — niech im zetną głowy!

— Łaski, łaski! — wołali nieszczęśliwi, padając na kolana.

— Mogę wam darować dzień jeden — rzekł kalif. — Idźcie, jesteście wolni do wieczora. O zachodzie słońca zetną wam głowy.

Straż wypuściła trzech ludzi na ulicę, a Diafar wybuchnął śmiechem.

— Doprawdy, tym sposobem najlepiej można ich wybadać.

— Jeżeli chcesz się dowiedzieć, co ludzie myślą — odrzekł z powagą kalif — nie słuchaj, co mówią, ale patrz, co robią.

II.

Mijały godziny.

— Ciekawym, co też oni robią w ostatnim dniu swego życia? — sam siebie zapytał kalif.

Nareszcie, nie mogąc się oprzeć swojej ciekawości, wyszedł z pałacu w towarzystwie wiernego Diafara i kilku niewolników, dobrze uzbrojonych.

Najpierw poszedł do domu kupca; był zamknięty. Zdawało się, że niema w nim żywej duszy.

— Hola! — zawołał kalif, popychając drzwi nogą. — Jusufie, gdzie jesteś?

Odpowiedział mu na to jęk przytłumiony i w głębi izby zobaczono Jusufa na ziemi, skulonego, z głową pochyloną.

— Cóż ty tam robisz? — spytał Diafar.

— Czekam, dopóki mi głowy nie zetną.

— Jakto? toś ty tak dzień przepędził? No dalej, rób cokolwiek, pracuj, baw się obliczaniem swoich pieniędzy, albo spróbuj się czem rozerwać!

— Po co? — rzekł Jusuf, wzdychając. — Cokolwiekbym robił, nie uchroni mnie to od śmierci.

— Biedny człowiek! — odezwał się Diafar wzruszony. — Czas pewny mu się okropnie dłuży. Czyby nie lepiej było skończyć z nim zaraz?

— Jak chcesz — odrzekł niedbale Harun.

Ale kupiec, posłyszawszy głos kalifa, zrzucił płaszcz i padł mu do nóg, błagając, aby mu jeszcze godzinę darował.

— Na co? — odparł Harun.

A po chwili dodał:

— No, zresztą jeżeli to mu taką sprawia przyjemność, możemy mu pozwolić żyć. Jusufie, wstań i ciesz się! Daruję ci życie.

Kalif z orszakiem oddalił się, nie słuchając podziękowań i udał się do muzyka, Saida. Z wnętrza mieszkania dochodził odgłos instrumentów, słychać było śpiew, snać jakaś odbywała się zabawa. Podeszli bliżej i ze zdziwieniem zobaczyli flecistę, rozciągniętego na jedwabnych poduszkach, przed nim zaś na małym stoliku stały owoce i sorbety.

Grono przyjaciół zabawiało się wesoło.

— Powinszować! — zawołał wezyr. — Ten umie przynajmniej użyć ostatniego dnia życia. I my się spieszmy!

— Zapewne — odrzekł kalif — ale chodź, zobaczymy, jak nas przyjmą.

I Harun, postąpiwszy na próg, klasnął trzy razy w dłonie.

Instrumenty ucichły. Said zbladł.

— Już? — szepnął, drżąc na całem ciele.

— Patrz! — zawołał Harun. — Cóż zostało z tego dnia pięknego? Nie mógłże ten człowiek lepiej go przepędzić!

— Albo ja wiem — odparł Diafar. — W każdym razie żal mi tego lekkomyślnego... Możeby go zostawić przy życiu?

— Niech i tak będzie — rzekł kalif. — Darujmy mu życie. Ale musimy jeszcze zobaczyć, co robi rolnik.

Wyszli za miasto. Słońce było już nisko. Kalif szedł zamyślony.

Diafar wyciągnął rękę w kierunku małej chatki.

— Tam zapewne go znajdziemy — rzekł do kalifa. — Ale nie, widzę go na polu.

Istotnie Hassan zajęty był robotą. Ciągnąc ciężką bronę, szedł zwolna; na twarzy jego znać było wielkie znużenie. Spostrzegłszy kalifa i jego orszak, zatrzymał się i dłonią otarł pot z czoła.

— No, mój kochany — rzekł do niego Diafar — słońce niedługo zajdzie, chwila stanowcza się zbliża... Cóżeś robił przez dzień dzisiejszy?

— Przez cały ranek siałem, a teraz, jak widzicie, bronuję.

— Wiedziałeś jednak, że to twój dzień ostatni!

— Wiedziałem i dlatego nie straciłem czasu.

— Pocóż było siać, skoro chleba jeść nie będziesz?

— Moja żona i dzieci będą go jadły — odparł rolnik.

— Masz słuszność, Hassanie — rzekł kalif. — Wszystko jedno, czy czeka życie długie lub krótkie! Najmędrszą jest rzeczą zawsze szczerze pracować, nie zmieniając codziennego trybu. Zacny człowieku, daruję ci życie i niech ono z łaski Allaha jak najdłuższem będzie!

Harun odszedł zadowolony, rozmyślając nad skutkiem próby, na jaką wystawił trzech swoich poddanych.

Kto żyw między nami, kto wiarę katolicką szczerze kocha, ten niech popiera prasę katolicką. Być może, że wydawnictwa katolickie niekiedy pod niektórymi względami chromają, ale pamiętajmy, że gdyby miały więcej prenumeratorów i kupujących, w krótkim czasie przewyższyłyby inne. Od nas to samych zależy! Zresztą musimy się zgodzić na to, że prasa wolnomyślna wydaje się pozornie tak dobrze prowadzoną dlatego, że na zmysły działa, często szerzy senzacyjne wiadomości i mało krytycznego człowieka olśniewa. A są ludzie, którzy w tego rodzaju rzeczach mają upodobanie, bez oglądania się na zdrowie moraalne i pożytek; a niemała też jest liczba i takich, którym błyskotliwy frazes imponuje po nad wszystko, bez względu na jego naukową nicość i wykazany niejednokotnie brak wszelkiej wartości. Tego rodzaju pisma nie dla nas!

Popierajmy więc dobre gazety, przyjmujmy je jak miłego gościa pod naszą strzechę. Ze szczególniejszą radością witajmy w rodzinach naszych pisma o chrarakterze religijnym, aby one mogły w nas wzmacniać życie religijne i w oddawaniu należnej czci Bogu podtrzymywać.

(Ks. Biskup Antoni Jul. Nowowiejski.)

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST. SAPIŃSKI.

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.